



II KATOWICKI KARNAWAŁ KOMEDII



Teatr Korez & Teatr Śląski

9 - 18 stycznia 2009

www.kk.katowice.pl



GAZETKA DZIENNIKA TEATRALNEGO ORAZ KOŁA NAUKOWEGO TEATROLOGÓW

PIĄTEK, 16.01.2009, NUMER IV



Wywiad z Katarzyną Dworak i Pawłem Wolakiem, autorami spektaklu *Sami* z Teatru im. Modrzejewskiej z Legnicy.

SAMI STWORZYLI „SAMYCH”

Spektakl „Sami” jest Państwa dramaturgicznym debiutem. Jednocześnie podjęliście się reżyserii tego przedstawienia i obsadziliście siebie w głównych rolach. Skąd wziął się pomysł na stworzenie własnego „scenicznego dziecka”?

Paweł Wolak: Chcieliśmy napisać coś swojego, aby obsadzić siebie w głównych rolach.

Kasia Dworak: To był żart, choć w każdym żarcie jest trochę prawdy. Kilka lat temu, będąc w kompletnej głuszy w górach, nakręciliśmy etiudę filmową – dwuosobowy, czterdziestominutowy film. I od tego filmu wszystko się zaczęło. Pokazaliśmy go kiedyś na zakończenie sezonu w teatrze i przyszedł nam i naszemu dyrektorowi pomysł, aby przenieść tę opowieść na deski teatru.

Jak się gra we własnym, autorskim spektaklu? Czy było Państwu łatwiej, ze względu na to, że byliście sami sobie sterem, żeglarzem i okrętem, czy też brak dystansu wobec dzieła uczynił tę pracę bardziej wymagającą?

K. D.: Bardzo trudno jest reżyserować spektakl, będąc jednocześnie cały czas na scenie i grać. To jest rzeczywiście dość karkołomne zajęcie.

P. W.: Bo nie można oglądać.

K. D.: Można oglądać wszystko jedynie od środka, co z jednej strony pomaga, a z drugiej strony jest trudne. Tak naprawdę ten spek-

takl zagraliśmy dopiero na premierze. Wtedy mogliśmy się wyłączyć i przestać się starać go oglądać.

P. W.: Mogliśmy przestać pilnować technicznych kwestii, zmian świateł czy muzyki. Dopiero na premierze tak naprawdę „odpaliliśmy”. Co koledzy mieli nam trochę za złe, bo oni już wszyscy byli gotowi i czekali, żebyśmy zaczęli grać. A my wciąż chodziliśmy podenerwowani. Na premierze całe to organizacyjne zamieszanie z nas opadło i mogliśmy już swobodnie grać.

Jak koledzy aktorzy reagowali na Państwa nową rolę w teatrze? Czy łatwo było ich „poskromić”?

K. D.: W naszym teatrze w Legnicy zdarzały się już takie sytuacje. Co prawda, koledzy aktorzy nie pisali scenariuszy dramatów, ale mieli już do czynienia z reżyserią. Dlatego w naszym zespole nie ma z tym żadnego problemu. Zresztą bardzo dobrze nam się współpracowało, gdyż dobrze się wszyscy znamy. A postaci dramatu pisaliśmy dokładnie pod naszych kolegów. Dali nam duże wotum ufania. I to się, mam nadzieję, sprawdziło.

P. W.: Byliśmy nieco „upierdliwi”, ale wszyscy aktorzy przeżyli i praca zakończyła się bez szkody dla przyjaźni.

Bohaterowie Państwa sztuki przeprowadzają się na łono natury, aby po tragicznych doświadczeniach na nowo odnaleźć siebie i wzajemną mi-

łość. Czy uważacie, że taka ucieczka na wieś może okazać się zbawienna?

P. W.: My usiłujemy przedstawić ten problem, ale w spektaklu nie dajemy odpowiedzi.

K. D.: Na to pytanie każdy z widzów musi sobie odpowiedzieć sam. Lubię teatr, który nie odpowiada wprost, że wszystko jest albo białe, albo czarne. I taki spektakl chcieliśmy stworzyć – nie czarno-biały.

Czy po tym udanym debiucie dramaturgiczno-reżyserskim planujecie stworzyć kolejny spektakl? Czy pojawiły się nowe pomysły?

K. D.: Tak, jesteśmy w trakcie pisania spektaklu o biznesie. To także będzie duży projekt i mamy nadzieję, że jakoś wspólnie przeżyjemy wspólną pracę pisarską. Jesteśmy piszącym w dwójkę ewenementem. Rzadko się zdarza, że ktoś pisze swoje dramaty z mężem albo z żoną. Nam się to na razie udaje i piszemy bez szkody dla związku. Zobaczymy, jak będzie dalej.

Trwa Karnawał Komедii, na którym prezentujecie swój spektakl. A czy widzieliście ostatnio sztukę, która bardzo by was rozbawiła?

P. W.: To pytanie, czy my chodzimy do teatru? Otóż jako widzowie nie chodzimy.

K. D.: W Legnicy nie ma drugiego teatru. A w naszym teatrze gramy we wszystkich

spektaklach. Ale chwalić swoje spektakle jest mi głupio. Poza tym, legnicki teatr bardzo rzadko robi komedie. *Sami* to też nie jest typowa komedia a tragikomedie. Pisząc ten dramat, nigdy byśmy nie pomyśleli, że to jest komedia. Potem dopiero ktoś zauważył, że to jest śmieszne. Publikacja nas bardzo zdziwiła na premierze. Okazało się, że taki czarny humor jest potrzebny. Ludzie śmieją się z tego, co mnie osobiście w ogóle nie śmieszy.

P. W.: Okazuje się, że im kto komu bardziej dokopie, im to jest bardziej bolesne, tym jest to również bardziej śmieszne. Lubimy śmiać się z tego, jak komuś jest źle.

K. D.: Taka jest, niestety, nasza przewrotna ludzka natura.

A z czego prywatnie się śmiejecie? Co Państwa bawi na co dzień?

K. D.: Ja z mojego męża. To jest jedna z niewielu osób, która potrafi mnie rozbawić, bo ma bardzo wisielcze poczucie humoru. Co zresztą, wydaje mi się, widać na scenie.

P. W.: A ja się śmieję z wyborów do PZPN-u. Tak naprawdę ja się w ogóle nie śmieję. I nie było tego pytania.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Maria Marchewicz

Recenzja spektaklu *Sami* w reż. K. Dworak i P. Wolaka

Odnaleźć spokój tam, gdzie go pozornie pełno

Spektakl *Sami* to dramaturgiczny i reżyserski debiut pary aktorów legnickiego Teatru im. Modrzejewskiej. Mogłam się przekonać, że był to bardzo udany debiut. Katarzyna Dworak i Paweł Wolak stworzyli bowiem świetny kameralny spektakl. Smutny, choć okraszony sporą dozą czarnego humoru.

Główni bohaterowie, Kasia i Paweł, porzucili miejskie życie, aby zamieszkać w podupadającym wiejskim domu ze stodołą, ogromnym polem i lasem wokoło. Chcieli uciec, zaszyć się gdzieś za siódmą górą i odzyskać szczęście. Jednak ten sielski obrazek nijak nie chce się ziścić. Nic im się nie układa. Kolejni sąsiedzi nachodzą ich namiętnie, głusza okazuje się nud-

na, a oni sami nie potrafią odnaleźć wewnętrznego spokoju.

Wiele jest między nimi niewypowiedzianych słów, wzajemnych niemych oskarżeń, choć oboje starają się otrząsnąć z tragedii, jaka ich spotkała. Stracili nie narodzone jeszcze dziecko. Oboje cierpią, ale nie potrafią w tym bólu odnaleźć samych siebie i wzajemnego uczucia. A próby rozmowy nierzadko kończą się wybuchami złości i raniącymi uwagami.

Nie jest to jednak spektakl dobijający widzów ciężarem historii. Choć podskórnie czujemy, że problemy dotyczące bohaterów są niezwykle poważne, to jednak śmiejemy się. A to za sprawą czarnej

go humoru, którym spektakl jest nasiąknięty. Kryje się jednak pod tą powierzchnią poważne pytanie o akceptację samego siebie i partnera, o wzajemne zrozumienie w obliczu nieprzychylności losu. Finałowe sceny wprowadzają nieco inny nastrój – bardziej refleksyjny. Postacie wzruszają szczerością, wypowiadają tłamszone emocje. Pojawia się oczekiwana iskierka nadziei na przyszłość.

Spektakl gra na emocjach widzów w dobrym stylu. Bawi i wzrusza. Tekst napisany przez legnickich aktorów świetnie sprawdził się na scenie. Ale na sukces tego spektaklu składa się także świetna gra aktorska całego zespołu. Każdy z aktorów stworzył wyrazistą, ciekawą postać, żąd-

na z ról nie została pobieżnie potraktowana, nawet jeśli była jedynie epizodyczna. Oglądając spektakl *Sami* aż trudno było mi uwierzyć, że to faktycznie debiut tej małżeńskiej pary twórców.

Maria Marchewicz

Recenzja spektaklu „Szczęśliwy dzień” w reż. A. Grabarczyka

Smakołyk w przerwie spektaklu

Stojąc, oczekiwałam w wielkim skupieniu na przedstawienie. Nagle, przez ciasno stłoczonych widzów, przebiegł pomruk niezadowolenia. Stali bywalcy Korezu niewątpliwie znają uczucie pojawiającej się klaustrofobii, gdy znajdują się w wąskim gardle korytarza prowadzącego na salę. Rzeczony niezadowolony był uzasadniony. Śmiało deptając po butach oczekujących i torując sobie drogę łokciami przepychał się delikwent w czerwonej kurtce, wysoko nad głową unoszący cztery płaskie pudła. Umieszczony na wiatrówce napis zaczynający się na „D” zdradzał miejsce jego pracy. Usilne starania tego pana o przedostanie się do biura miały tragiczny finał dla mojej marynarki, która została wątpliwie przyozdobiona pokąsną kropką ketchupu. Gdy pospiesznie usuwałam z odzieży resztki pomidorowej breji ogarnęło mnie wielkie wzruszenie na myśl o pięknym geście artystów, którzy w przerwie postanowili poczęstować nas pizzą.

W miarę rozwoju spektaklu moje nadzieje rozwiewały się przez obecność na scenie niezwykle żarłocznego anioła – Michała Anioła. Grany przez Marka Siudyma Anioł Stróż stał się obiektem eksperymentu niebiańskiego zarządu. Otrzymał materialne ciało (nie tylko astralne), by móc lepiej zrozumieć swego ziemskiego podopiecznego – malarza. Ten z kolei zakochał się ze wżajemnością, o czym nie wiedział, w młodszej o trzydzieści kobiecie. Fabuła nieodparcie przypomina którąś z amerykańskich komedii telewizyjnych, popularnych w latach 90. Akcja, kręcąca się wokół jedzenia, nie porwała widzów, choć okrasili oni kilkoma wybuchami tubalnego śmiechu to teatralne spotkanie.

Duetowi Siudym-Grabarczyk wspólna konsumpcja wiodła się całkiem niezle. Widoczne było doskonale porozumienie aktorów na scenie. Nawet mimo nieco mrukliwego sposobu podawania tekstu przez Siu-

dyma repliki były doskonale słyszalne. Stworzył on postać bez cech szczególnych, jednoskładnikową, ale dość zabawną, tylko taką „jak zawsze”, kreowaną jakby według starej, dobrej receptury. Bardziej wielosmakowy okazał się Grabarczyk, który wydobyl ze swej postaci i kwas ironii, i słodycz uczucia, i gorycz rozczarowania, a także słodkawką niepokojącą, które stopniowo dodawał do stworzonego na scenie Ryszarda. Niestety, gdy pomiędzy dwóch mężczyzn wkroczyła kobieta, z miejsca ujęła walorów aktorowi wykonaniu spektaklu. Niepewnie poruszająca się po scenie Joanna Kupińska zagrała Laurę bez asercji i z ogromnym wycofaniem. W teatrze widz oczekuje pewnej ofensywy, wychylenia się w jego stronę dla stworzenia uczucia jedzenia z tego samego talerza, którego aktorka, niestety, nie zbudowała. Z trudnością odnajdywała się wśród rozlicznych elementów scenografii, na którą składały się: stół, fotel, kanapa, lustro, sztalugi, blat jakby kuchenny, drabina itd. Wnętrze pracowni i kostiumy były prawdopodobne, noszące znamiona mimetyzmu, pojawiły się też prawdziwe (sic!) potrawy. Wypełnienie po brzegi sceny nie dawało widzowi

szans na współuczestnictwo w uczcie duchowej, jaką jest spektakl; nie pozostawiło miejsca na swobodną grę wyobraźni.

Momentem, w którym audytorium poczuło się dowartościowane była prawie-przerwa, w czasie której poczęstowano obecnych gorącą muzyką (Freak of Nature), z tekstami traktującymi o sprawach uczuciowych. Podanie na talerzu sensów, do których odkrycia odbiorca powinien być sprowokowany zaliczam już do niedoskonałości samego tekstu. Pozostaje tylko pytanie dotyczące autorstwa płótna znajdującego się w tle sceny. Czyżby zainspirowane były dziełami Andy’ego Warhol’a?

Debiut reżysersko-kulinary Andrzej Grabarczyka nie był zbyt łatwy do przełknięcia. Zaserwowane przez niego danie teatralne nie przypominało w smaku doskonałej pizzy z restauracji na „D”. Czy dlatego, że na scenie-stole brakło jednej przyprawy, tuż polskiej sceny, Jana Kobuszewskiego? Tym, którzy po powrocie do domów włączyli telewizor mówię: smacznego!

Małgorzata Warzycha

Wywiad z Andrzejem Grabarczykiem, aktorem teatralnym i telewizyjnym

W LUSTRZE RZECZYWISTOŚCI

Marta Odziomek & Małgorzata Warzycha: *Wiemy, że w zeszłym roku brał Pan udział w Karnawale Komedii, proszę podzielić się z nami wrażeniami z poprzedniej edycji.*

Andrzej Grabarczyk: Szczerze mówiąc, nieustannie mam wiele wyjazdów i wszystko dzieje się w takim pośpiechu. W skrócie ująłbym to tak, że przyjeżdżamy, gramy spektakl i już musimy się pożegnać. Ale z poprzedniej mojej wizyty w Katowicach najbardziej zapamiętałem wspaniałą widownię.

M.O. & M.W.: *Czy mógłby Pan nam przybliżyć swoje korzenie teatralne?*

A.G.: W Katowicach mieszkałem przez siedemnaście lat, jako młody człowiek uczęszczałem do okolicznych teatrów. Mój tato był aktorem w Teatrze Śląskim, zaś mama prowadziła sekretariat teatru w Zabrze. Takie właśnie są moje korzenie.

M.O. & M.W.: *Na jakich scenach w dzisiejszym Katowicach mogą Pana teraz zobaczyć?*

A.G.: Obecnie występuję na deskach dwóch teatrów warszawskich: w Teatrze Kwadrat i od niedawna w prywatnym Teatrze Capitol.

M.O. & M.W.: *W jakim repertuarze najlepiej Pan się czuje?*

A.G.: Od niemal trzydziestu lat, bo tyle pracuję w Teatrze Kwadrat, gramy wszystko na wesoło, mamy wyłącznie komediowy repertuar. Mogę powiedzieć, że moje losy teatralne potoczyły się w stronę komedii.

M.O. & M.W.: *Dziś przed nami Pana debiut reżyserski. Proszę nam opowiedzieć o tej inicjatywie.*

A.G.: Stało się to trochę przez przypadek, specjalnie się o to nie starałem. Koleżanka Anna Gornostaj w czerwcu ubiegłego roku otwierała w Warszawie Teatr Capitol. Postarała się o lokal w dawnym budynku Przyjaźni Polsko-Radzieckiej na Marszałkowskiej. Niedługo było tam jedyne trójwymiarowe kino w mieście. Mój kolega Andrzej Chichłowski, też aktor i reżyser, napisał *Szczęśliwy dzień* i dał mi do przeczytania. Po lekturze powiedziałem do Ani Gornostaj, że ma tu bardzo

dobrą rzecz, że wróżę jej powodzenie i że byłoby fajnie, gdyby to wystawiła w Capitolu. A Ania na to, że może ja bym to wyreżyserowała! Początkowo broniłem się, ale potem dałem się przekonać no i... zrobiłem! (obustronny śmiech). Sztuka rozpisana jest na trzech aktorów, zaprosiłem więc do współpracy kolegę Marka Siudyma, z którym gram od lat, obaj wiemy, jak sobie tekst podawać i młodą aktorkę Joannę Kupińską.

M.O. & M.W.: *Jak Pan się czuje w takiej podwójnej roli aktora i reżysera?*

A.G.: Ja naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, że to takie trudne zadanie jednocześnie być aktorem na scenie i jako reżyser być na zewnątrz, patrzeć na wszystko z boku, trzymając dystans. Dopiero w nocy, po skończonej próbie porządkowałem w głowie wszystkie sceny. Było to dla mnie prawdziwe wyzwanie.

M.O. & M.W.: *Czy ma Pan może jakieś plany reżyserskie na przyszłość?*

A.G.: Na razie nie planuję nic takiego z braku czasu, choć dostałem propozycję, abym wyreżyserował *Szczęśliwy dzień* z inną obsadą w teatrze w Gorzowie Wielkopolskim. Nie wiem czy mi się to uda, bo, jak wspominałem, mam ostatnio bardzo niewiele czasu.

Wyżej drabiny. W Erewaniu były takie tłumy, że aktora przenoszono – razem z wionoczelą – z jednej sali do drugiej, a w końcu wyniesiono go na zewnątrz. W trakcie przedstawienia Peszek „wygłasza wykład na temat współczesnej sztuki, akompaniując sobie przy użyciu mokrej szmaty i drewnianego drąga”.

Spektakl jest zrozumiały nawet dla tych, którzy nie mają za sobą wykładów z estetyki czy lektury *Happeningu* Tadeusza Pawłowskiego. Peszek grał swój monodram w najrozmaitszych miejscach: w piwnicy, na lotnisku, klepisku stodoły, pokładzie samolotu czy w skąpanym deszczem sadzie. Towarzyszący aktorowi elektryk Wiesław Ochal podliczył, że zużyto: tonę soli, pół tony jabłek, cztery garnitury, dziesiątki kilometrów żyłki nylonowej i... Karola, który został zgnieciony

w samolocie. Właśnie – nie wspominałem jeszcze o Karolu! To nieistniejący fizycznie na scenie osobnik, z którym aktor prowadzi dialog. Prymityw, który nie tylko klnie, ale także – podczas całej rozmowy – oddaje mocz. Peszek mówi więc podczas spektaklu do... ukrytej, wypełnionej wodą puszkę po ogórkach z dziurkami w denku!

Jeśli weźmiemy pod uwagę miejsca nie-teatralne, w których prezentowany był Scenariusz..., można powiedzieć, że dzisiaj zobaczymy klasyczny spektakl. Ale czy można w ogóle mówić o tradycji w odniesieniu do przedstawienia, którego tematem jest awangarda?

Tomasz Klauza

Felieton

METAFIZYCZNY ARLEKIN

Jan Peszek w Teatrze Korez to wyjątkowa sytuacja. Wszak to na tej scenie od kilkunastu lat grane są: Scenariusz dla 3 aktorów i Kwartet dla 4 aktorów Bogusława Schaeffera, powstałe z fascynacji Scenariuszem... w krakowskim Teatrze Stu w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. Wówczas – w końcu lat 80. – spektakl Teatru Stu był już kultowy, a przyszły Teatr Korez tworzyło kilku chorzowskich zapaleńców.

Kolejny „scenariusz” – Scenariusz dla nieistniejącego, ale możliwego aktora instrumentalnego Bogusław Schaeffer napisał

w 1963 roku, Jan Peszek zaczął wykonywać go na scenie 11 lat później. Przez ponad trzydzieści lat zaprezentował Scenariusz...ponad dwa tysiące razy! Zarówno w Polsce, jak i za granicą. W Oslo grał po angielsku, ale w Tokio i w Osace – po polsku, pomagając sobie gestem i mimiką. Pisano o nim wówczas „metafizyczny arlekin”. Na początku grał za darmo. Nic więc dziwnego, że często oznajmia przed monodramem, że widzowie zobaczą za chwilę „żywą skamielinę”. To oczywiście żart, ponieważ przed rutyną chroni Peszka m.in. zawsze zmieniająca się i nieprzewidywalna publiczność. Podczas jednego z przedstawień do wiszącego na drabinie głowę w dół aktora jeden z młodych widzów krzyknął: „Tata, daj se spokój!”. W Łodzi z kolei rozpętała się bójka na szczeble wyrwane ze wspomnianej

REDAKCJA: FORUM MŁODYCH KRYTYKÓW DZIENNIKA TEATRALNEGO ORAZ KOŁO NAUKOWE TEATROLOGÓW UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO: MARTA ODZIOMEK (RED. NACZ.), TOMASZ KLAUZA, AGNIESZKA MANOWSKA, MARIA MARCHEWICZ, ALEKSANDRA SKIBA, MAŁGORZATA WARZYCHA, BARBARA WOJNAROWSKA. SKŁAD: JAKUB SWAT. KOREKTA: SYLWIA GÓRKA. ADRES: DZIENNIK TEATRALNY UL. KOSSHUTA 11, 40-844 KATOWICE. KONTAKT: REDAKCJAFMK@GMAIL.COM

Sponsorzy:



Patroni medialni:

